Nr. 3 Dodatek do nr. 24 „Ilustrowanego Tygodnika Polskiego Rok I

Rozmaitości Literackie i Naukowe



TREŚĆ





Kto wyrzeka na brak oświaty i upadek obyczajów, a nie popiera i nie rozpowszechnia zdrowych pism i książek, ten nic nie robi, aby zwalczać zło.

Są rodziny, na których los tak dziwnie lubi się mścić, że nazwiska ich, przechodzą poprostu w przysłowia, dające wyraz nieszczęściu. Do takich zaliczyć należy wygasły u nas ród Patkulów, którego przedstawiciel Jan Patkul przechodził doprawdy tragiczne wypadki, ślad o tem pozostawiając w historji anegdotycznej: „nieszczęśliwy, jak Patkul".

Istotnie, Jan Patkul, wysłany od Stanów Inflanckich w poselstwie do Karola XI do Stockholmu, sprawę gnębionej wówczas ojczyzny swej przez podatki w ten sposób przedstawił, iż nic ojczyźnie nie przynosząc, naraził się na niełaskę dworu. Opuścił wtedy kraj, wyjeżdżając do Moskwy, gdzie stał się zaufanym Piotra Wielkiego, który w charakterze posła wyprawił go do Drezna.. Tu August II tak go sobie upodobał, że zatrzymał go u swego dworu, obdarzając różnemi względami. Posłużyło to Patkulowi za podstawę nawiązania ścisłej przyjaźni pomiędzy Augustem a Piotrem. Stąd wzięło się przypuszczenie, które nic tych powodzeń przerwało, iż Patkul jest jednocześnie medjatorem pomiędzy Szwecją a Moskwą — niewiadomo, dość że osadzono go w więzieniu, gdzie pozostawał aż do chwili wkroczenia Szwedów i na mocy traktatu Szwedom miał być wydany w ręce.

Byłaby to z pewnością najgorsza okoliczność, jakaby mogła wypaść Patkulowi, pamiętamy bowiem, iż raz już Szwedom ciężko się naraził. Więc znów chwila szczęścia, Saski bowiem komendant więzienia dał Patkulowi do zrozumienia, iż pozwoli mu uciec, zwłoka jednak w wykonaniu tego planu, pozwoliła, by oddział Szwedzki zajął miasto i opanował więzienie, wprowadzając Patkula przed oblicze króla szwedzkiego, który w Kazimierzu pod Kaliszem skazał go na śmierć.

Patkula stracono, pastwiąc się nad nim niemiłosiernie i bez wszelkiej przyczyny.

Jedną jeszcze spuściznę pozostawił po sobie, miejsce bowiem, gdzie kaźń się odbyła, starzy ludzie nazywają Patkulkami.

Dziwne zaiste koleje biednego, Bogu ducha winnego szlachcica, którego fortuna tak srodze prześladowała, jak piłką rzucając nim bez żadnego celu i wśród różnych ludzi i narodów.

*

Herbarze staropolskie, poza spisem nazwisk przytaczać lubią i przykre dla rodów szlacheckich paszkwile, których nawet nie pomijał, pomimo respektu i wielkiego przywiązania do sprawy rodowodów ks. Niesiecki w znanem swojem dziele o herbach.

Oto bowiem obok nazwiska Potulicki znajdujemy złośliwy paszkwił z XVII wieku, prawdopodobnie mający na celu podkreślenie jakowychś zagmatwanych stosunków rodzinnych.

Przedziwna sałata, wielce pewnie niemiła, ale jak każdy paszkwil przyprawiana pieprzem złośliwości, najprawdopodobniej niesłusznie.

Oto jak brzmi ta przypowiastka:

Wujenkom siostro, żono mojemu mężowi,
Siostrzenico, synową zostawszy wujowi,
Matki męża bratową, przez me stanowienie
Wywróciłam na nice samo przyrodzenie.
Jeśli dziatek narodzę, to moi synowie,
Ojcu będą siostrzeńce, a mnie bratankowie.
On mi ojcem i wujem, ja, matką zostawszy,
Będę przecież i ciotką, krew ze krwią zmieszawszy.

Całe szczęście, że na tem kończy się, bo i tak mało zrozumieć można, chyba współcześni czegoś się domyślali, obawiamy się jednak, że ani my, ani czytelnicy nic z tego nie zrozumieją.

*

Bardziej konkretny zarzut spotkał ród Pomarnackich, szczególnie, iż komentarz historyczny, wyraźnie wskazuje na przestępstwo ze strony niejakiego Pomarnackiego wobec Św. Tadeusza. Szlachcic ów bowiem, wysłany do zrobienia inwentarza kościoła, przywłaszczył był sobie, jak o tem głosiła kronika, jakieś votum na obrazie Św. Tadeusza. Był podobno proces, była pewnie i kara, a stąd przymówka, ułożona przez jednego z adwokatów wileńskich:

Święty Tadeuszu, pochowaj cacki,
Bo patrzy na cię pan Pomarnacki.

*

Wspominaliśmy w jednej z poprzednich powiastek naszych o pani kasztelanowej Kamińskiej, która to, jak skarżył się Żółkowski, olejem gości karmiła.

Weseli byli nasi przodkowie i nie brak im było konceptów w trudnych chwilach życia, jeśli, jak wspomina o tem Kraszewski, kasztelanowa, wielka pani, bo z Potockich urodzona i Kossakowska z męża, zdobyła się na taką odprawę natrętnemu komornikowi, któremu kazała otaksować niepokaźne i ściśle prywatnego użytku naczynie (powiadają, że srebrne, jak wielkim tego świata uchodzi), polecając, by nietylko sprzedał, ale jeśli reszta się okaże (jaka?) własnoręcznie odniósł.

*

A teraz na zakończenie, pomimo że upał i pewnie nikt nie pije, nie dla pijaków to podając, zacytujemy powiastkę o wstrzemięźliwości.

Okazuje się, że bez rozporządzeń o piciu w filiżankach od kawy przodkowie nasi jeden raz w tygodniu wstrzymywali się od napoju, uważając, iż dniem tym winien być dzień postnego umartwienia, a więc dzień postny. W obrządku rzymskim dniem tym była sobota, w obrządku greckim zaś środa i piątek. Jeden wszakże był taki pijak, nie z łaski Bożej, szlachcic ruski, Olizar, który nie mógł powstrzymać się od nałogu, właśnie w dzień umartwienia będąc najbardziej pijany. Jakieby znalazł godne sobie towarzystwo, gdyby naszych czasów dożył i sławetnego „postu administracyjnego". Ominęłaby go pewnie złośliwa przypowieść, którą kronika nam przekazała:

Sereda, piatnica —
Olizar pjanica...

Przymówki

Na św. Annę
(26 lipca)

Od świętej Anki
zimne wieczory i ranki...

Od świętej Anny
nie doczeka południa
deszcz poranny...

Święta Anna,
to już jesieni panna...

Na św. Martę
(29 lipca)

Około dnia świętej Marty
ze żniwami już nie żarty...

Święta Marta
odpędza głód od czarta...

PAWEŁ KUBISZ

Z podań o Czantorji.



W gróniach leżą se wojocy

Ćma z chmurami szła po nocy
Miesiónczka nie było —
Wyszli ze skał se wojocy ,
W gróniach cosi wyło...

Pierón trzoskoł po kamieniach,
Świecónco blyskało
Wyszli w żeleznych odzieniach,
Sto koni zarżało.

Biołe kónie gwiozde miały,
Czorno malowaną
Czorne — w biołej sie kochały
Na czole rzezaną.

Wyszli ze skał se wojocy
Spytać o swe hasło...
Wyszli o ćmi, i po nocy
Jak se wszycko zasło!

Objeździli dołokoła,
Kole chalup rzędem —
Cihco wszędy, nikt nie woła
Zawrócili pędem.

Pojechali do skał smutni
Przez dziwoki wrota,
Tam ich gdosi gro na lutni
I zwóni trzask młota.

Kują się tam śrybrne szable,
Rzą u żłobu kónie!
Iskry prują z sykiem djoble —
W czupurnym pokłónie.

A w postrzodku, straż ździaruje
Wykuty z porfiru,
Wszycko słyszy, wszycko czuje
Jest to wódz sław, miru!

Mo helm, na nim pióra pawi,
Trómbe w gorści złotą,
Przyjdzie czas to sie wysławi
Kolyban tęsknotą.

Wartko płynie światem woda,
Dłużko spią wojocy,
Jedli wzrosła sie uroda,
Mówią smreki nocy.

A jak pujdzie ćma na gróńie,
Kaj leżą wojocy...
Pierón huknie w roztyrmónie,
To ci staną w nocy!

Zatrzeszczą od kopyt skały
Zabębnią podkowy —
Wyńdą wojska, co tam spały
By gnyść fałsz i zmowy!

Pod Godulą

Pod Godulą w skałach skryte
Stoją złote słupy wbite —
A w kamieniach zakutany,
Jest dziw wielki niepoznany!

Porzeczysko taki ludzi
Nieroz strach po nocy budzi;
Idą godki po dziedzinie,
Że Godula z dziwów słynie.

Przed rokami — moc już czasu,
Pjyrszy człek szeł tam do lasu
Ciągła go tam zło pustota,
Chciol se nabrać w kapse złota.

Jak wyszeł na wyrszczek góry,
Uwidzioł okropne mury.
A przed niemi god sie jeżył,
I żądło wielkucne szczerzył.

I koróne mioł na głowie,
Krolewski mioł złotogłowie!
Bo był królem nad gadami —
Jaszczurkami i płazami.

A jak gwizdnył, wszycki gady
Zebrały sie do grómady;
I gonić człowieka jęły,
Aż go z gróni wystraszyły.

Bezmala od tego czasu?
God sie schowoł w ziemi lasu!
Bo i ludzie tam chodzili,
O korónie złotej śnili.

Pod Godulą w skołach skryte
Stoją złote słupy wbite —
A w kamieniach zakutany,
Złotogłowiec je schowany!

Mumje bez głowy

I

Tajemnice, których rozwikłanie najlepiej się udawa memu ekscentrycznemu przyjacielowi, Morisowi Klaw, zawsze należały do rzędu tych, których przyczyna tkwiła albo w zawiłościach mózgu ludzkiego, albo też w ukrytych dziejach jakiegoś starożytnego zabytku.

Widziałem, jak teorja jego o Cyklach Zbrodni święciła raz poraz triumfy, że dzieje cennego jakiegoś klejnotu lub wykopaliska powtarzały się niemal dosłownie, podlegając, jakby sądzić można, tym niejasnym prawom przypadkowości, z których on uczynił sobie przedmiot badania. Wtedy zaś szczególny dar, jaki posiadał — usilnie go wzmacniając szeregiem studjów, które miały na celu uzyskanie z atmosfery (czy też z eteru nazwijmy to jak kto woli) odbicia tych kształtów myśli, jakie wydał z siebie umysł poszukiwanego przezeń przestępcy — dar ten umożliwił mu powodzenie tam, gdzie każdy badacz pospolity musiałby z konieczności natknąć się na niepowodzenie.

— Oni niszczą — mawiał swym dziwnym huczącym głosem — nieudolne narzędzia swego czynu; ukryją nóż lub pałkę, zetrą ślady krwi, zepchną trupa zamordowanego do piwnicy lub kanału... ale pozostawiają nietknięty negatyw odyczny, ową fotografję ich zbrodni: odbicie myśli w powietrzu!...

Tu uderzał się dłonią po swem wyniosłem, żółtawem czole.

— Tutaj — mówił — na tej najczulszej z płyt, odtwarzam ją, tę rzeczywistość zawieszoną w powietrzu!... Dziecko zamordowane oddawna zakopano w ogrodzie, ale myśl tego, co mordował, jeszcze była wolna. Ja ją schwytam... i oto już dzieciobójca zawisł na szubienicy. O, to jest wielka sztuka, owa umiejętność fotografji odycznej!

W danym wypadku chcę opowiedzieć przypadek wykazujący niezwykłą wiedzę Morisa Klaw w dziedzinie archeologji, w dziejach zabytków. W tem szczególnem jego emporjum na Wapping, gdzie mieszkały białe szczury, śpiewający kanarek, papuga miotająca przekleństwa i gdzie się mieścił cały kram tego rzekomego handlarza starożytności — znaleźć można było jeszcze ponadto księgozbiór jedyny bodaj w swym rodzaju. Zawierał on dzieła transcendentalne o kryminologji; zawierał katalogi wszystkich zabytków, jakie tylko znane są zbieraczom europejskim i to w dodatku zaopatrzone wyczerpującą historją tychże zabytków. Co zawierał ponadto, osądzić mi trudno, ponieważ urocza panna Izys Klaw była niezmiernie zazdrosnym stróżem tych skarbów.

Wy, którzy śledzicie bieg wspomnień niniejszych, znacie już nazwisko Coram'a, kustosza muzeum Nenzies. Otóż właśnie przez Coram'a dowiedziałem się poraz pierwszy o niewytłumaczonem znikaniu głów mumji, które się zaczęło od cennej mumji kapłanki Horankhu, będącej własnością p. Pettigrew, a następnie przeszło w formalną epidemję. Nie można sobie wyobrazić zniewagi równie bezcelowej, jak urywanie głowy zwłokom z przed lat tysięcy. To też, jeśli się zadziwiłem, słysząc o pierwszym podobnym wypadku — zdumienie moje przeszło w osłupienie, gdy rozmaite mumje po kolei zaczęły tracić głowy w sposób tajemniczy. Na razie opowiem pierwszy wypadek, tak, jak mi go przedstawił Coram.

Zatelefonował do mnie kiedyś wczesnym rankiem.

— Słuchaj, Searles, stało się coś bardzo dziwnego. Wspominałem ci nieraz o zbieraczu Pettigrew, tym, co to mieszka na szosie Wandsworth i jest jednym z naszych zaufanych. Wystaw sobie, że jakiś zwarjowany złodziej włamał się do niego wczoraj wieczorem, ale nic nie zabrał, tylko uciął głowę najcenniejszej mumji!

— Mój Boże — wykrzyknął — cóż za pomysł szczególny!

— Nadzwyczajny — odparł Coram — policja zupełnie traci głowę, a ponieważ wiem, że ty masz spryt do tego, więc myślałem, że możebyś poszedł pogadać się trochę z tym Pettigrew. Czy mam go uprzedzić o twojem przybyciu?

— I owszem — odpowiedziałem i umówiliśmy się odrazu.

Około jedenastej stosownie do umowy, zjawiłem się u wrót posępnego domostwa, stojącego na uboczu od szosy i osłoniętego kępami zdziczałych krzewów. Mr. Mark Pettigrew, figurka znana dobrze ze wszystkich hal licytacyjnych, był to mały, zasuszony człowieczek, sam podobny do mumji, z wyjątkiem cery wygolonej twarzy, która miała barwę zasuszonej moreli. Wielkie okulary zasłaniały mu część oblicza, ale z poza nich błyskały figlarne oczka, a dowcip miał równie kostyczny, jak to zapowiadał jego wygląd.

— Miło mi powitać pana, panie Searles — ozwał się — pan, zdaje się, masz pewne doświadczenie w rzeczach nadzwyczajnych, być więc może, iż pan wpadniesz na jakąś myśl sensowną tam, gdzie dwóch policjantów, imponujący detektyw i jakiś jegomość skromnie ubrany, który podobny był do konia, zdołali tylko przewrócić dom mój do góry nogami.

Zaprowadził mię do wielkiego, ponurego pokoju, w którym zabytki, po największej części egipskie, rozmieszczone były i opatrzone numerami z dokładnością muzealną. Przed sarkofa-

giem drewnianym, zawierającym upowity kształt mumji, zatrzymał się i wskazał nań palcem. Wyglądał tak, jak gdyby sam tylko co wyszedł z sarkofagu.

— Hor-ankhu — rzekł — kapłanka z Sekhet. Bardzo ładny okaz, panie Searles. W mojej obecności ją odkopano. Patrz pan, oto jej głowa.

Nachylił się i podniósł głowę mumji. Bardzo umiejętnie i czyściutko oswobodzono ją z zawicia i oddzielono od ciała. Mocno pachniała smołą, a rysy jej pokurczone nic mi tak żywo nie przypominały, jak twarz p. Marka Pettigrew.

— Czy pan słyszałeś kiedy o czemś równie bezsensownem? — zapytał — chodź pan, pokażę ci okno, którędy wszedł.

Przeszliśmy ciemny pokój i zbieracz zwrócił moją uwagę na okrągłą dziurę, wywierconą w szybie jednego z okien weneckich, wychodzących na coś w rodzaju łączki minjaturowej, która była niegdyś strzyżonym trawnikiem.

— Każę sobie dorobić okiennice — ciągnął dalej — to tak łatwo wyciąć dziurę w szkle i otworzyć klamkę którego z tych okien!

— Bardzo łatwo — przyznałem — czy ktokolwiek go usłyszał?

— Nikt zupełnie — odpowiedział — i to jest właśnie niesamowita strona tej całej historji. Rzezimeszek miał całą noc przed sobą, a wkoło siebie tyle gablot zawierających rzeczy wprost bezcenne i nic nie ruszył, oprócz głowy tej kapłanki. Jeśli zaś ją już urwał, licho wie na co i po co, to czemuż jej nie zabrał?

Patrzyliśmy wzajem na siebie w milczeniu.

— Obawiam się — rzekł Pettigrew — żem osądził zbyt surowo mego gościa o końskim wyglądzie. Pan nie wyglądasz ani trochę mądrzejszy od najgorszego z nas.

— Bo też czuję się wielce niemądry — wyznałem z pokorą.

— I jesteś pan nim — rzekł Pettigrew z grubjańską nieco poufałością — i ja także i policja także. Ale najgłupszy ze wszystkich był ten, który tu przyszedł po nocy i urwał głowę mumji.

Oto wszystko, co mam do opowiedzenia o pierwszej z tych szkód tajemniczych. Nie mogłem wpaść na żadną teorję, któraby ten czyn uzasadniła, a to widocznie gniewało pana Pettigrew. Raz jeszcze zapewnił mię o mej głupocie i koniecznie uparł się, aby otworzyć butelkę szampana. Wróciłem potem do siebie, a widząc, że rozmyślanie nic tu nie pomoże, zająłem się czem innem, gdy przerwał mi znowu dzwonek telefonu, tym razem od inspektora policyjnego, Grimsby.

— Halo! p. Searles. Słyszałem, żeś pan był dziś rano u p. Pettigrew.

Odpowiedziałem twierdząco.

— Czy zauważyłeś pan co uderzającego?

— Nic zupełnie. Czy to pan masz tę sprawę?

— Nie miałem tej, ale mam drugą podobną.

— Jakto?...

— A no, urwali głowę drugiej mumji w hali licytacyjnej u Sotheby'ego!

II

Wiedziałem doskonale, czego się odemnie spodziewają.

— Skąd pan mówisz? — zapytałem.

— Z hali licytacyjnej.

— Będę tam za godzinę — rzekłem — i przyprowadzę Morisa Klaw, jeżeli uda mi się go znaleźć.

— Zgoda — odparł Grimsby, a w głosie jego znać było głębokie zadowolenie — ten wypadek, to właśnie w jego stylu.

Siadłem do taksometru i ruszyłem niezwłocznie w kierunku wonnej dzielnicy Wapping. U wylotu ślepej uliczki, która prowadzi do przybytku rodziny Klaw, kazałem szoferowi zaczekać. Ciemnie słabo tylko rozpraszał chwiejny płomyk gazowy pod okapem nade drzwiami sklepu. Wkoło mnie słyszałem szum rzeki. Gdzieś niedaleko śpiewał ochrypłym głosem pijak. Jakaś stara dama, jakby przebrana do pantominy, badała wzrokiem krytycznym krzesło mahoniowe o jednej poręczy, które stanowiło część przedmiotów wystawionych dla przynęty.

Osobistość zaszargana o nosie płonącym rumieńcem wstydu za niewstrzemięźliwość właściciela, krążyła w pobliżu domniemanej klijentki. Był to William, którego stanowiska w zakładzie Klaw'a nie umiałem sobie dobrze określić, ale który, o ile sądzić mogłem, odgrywał w chwilach trzeźwości rolę subjekta sklepowego.

— Dobry wieczór — zagadnąłem go — czy p. Klaw jest w domu?

— Jest proszę pana—szepnął ów wyrzutek społeczeństwa — ale jest bardzo zajęty, proszę pana.

— Proszę mu powiedzieć, że przyszedł p. Searles.

— Słucham pana — odparł William, a zwracając się do damy — czy pani chciała kupić ten stołek, kiedy go już pani tak obwąchała? — rzucił uprzejmie, poczem pogrążył się w głębie nory, zwanej sklepem, ja zaś podążyłem za nim w kierunku rysującej się mglisto lady sklepowej.

— Moris Klaw, Moris Klaw, djabeł przyszedł po ciebie!

Tak powitała mnie niewidzialna papuga. Niedające się opisać wonie, podobne jak w ogrodzie zoologicznym, połączone z zapachem starej bibuły i nieokreślonym zaduchem mebli napół spróchniałych uderzyły o moje nozdrza; mięszały się z tem zapachy właściwe życiu płazów. Szmery, pełzania i skrobania nie ustawały dokoła, ożywiane od czasu do czasu lekkim piskiem. Ponadto wszystko rozległ się huczący głos Morisa Klaw.

— A, pan Searles! Dobry wieczór, panie Searles. Idzie o mumję Pettigrew'a, nieprawdaż?

Posuwał się wśród cienia, a wyniosła jego postać przyodziana była jak do podróży, w płaszcz z peleryną. Brodę miał nieuczesaną, jak zwykle, binokle mu błyszczały, a wysokie czoło zdawało się żółte, jak u Chińczyka.

— Był już drugi wypadek — odparłem — u Sotheby'ego.

— Tak? — pytał z zajęciem Moris Klaw, znowu zgilotynowano mumję?

— Tak, inspektor Grimsby prosił abyśmy tam do niego przyszli.

Moris Klaw nachylił się i wydobył z pod lady swój bronzowy cylinder. Zza podszewki wyjął flakonik okrągły i przymięszał do woni wypełniających wnętrze sklepu, milszy cokolwiek zapach werbeny.

— Sposób orzeźwiania się przejęty od Rzymian, panie Searles — mruknął po swojemu — to bardzo odświeżające, gdy się mieszka razem ze szczurami. Ach, więc to p. Grimsby znowu jest w kłopocie? Znowu p. Grimsby potrzebuje biednego warjata, żeby mu poświecił poto, aby mądry Grimsby mógł sobie z ciemności wyłowić uznanie? I czemużby nie, panie Searles, czemużby nie? On ma w tem interes, a ja... przyjemność.

Podniósł głos: — Izys, Izydo! — zawołał.

Na to wezwanie, z głębin domostwa, posępnego jak zmora, wynurzyła się na mętne światło gazowe postać panny Klaw, niby rycina z żurnalu paryskiego na kartach katalogu handlarza starem żelastwem, ubrana w kostjum zielonkawy jedwabny, którego nie ożywiała żadna ozdoba, co go czyniło tembardziej uderzającym. Suknia ta była głęboko wycięta u szyi, a na końcu tego wycięcia zwieszał się cienki złoty łańcuszek, zakończony dużym szmaragdem. Piękna jej smagła twarz mogłaby służyć malarzowi za wzór do królowej Saby, ale nutę nawskroś modną nadawał jej czarny gazowy kapelusz, na którym odrazu znać było piętno paryskie. Powitała mię właściwym sobie czarownym uśmiechem.

— Cóżto? — zapytałem — państwo byliście na wychodniem?

— Gdy usłyszałem, kto przyszedł — zahuczał Moris Klaw — wiedziałem, że wypadnie nam wyjść. Jesteśmy zatem gotowi.

Wsadził na głowę swój zabawny cylinder i wyszedł przed sklep.

— Williamie — rzekł — czuję zapach taniego piwa. William się tem doprowadza do ruiny... Proszę pozamykać o wpół do dziesiątej i proszę pamiętać, żeby nie zostawić kota w szafie razem z białemi myszami. Proszę uważać, żeby koza nie dobrała się do cebulek holenderskich. Ona się ich kiedy na śmierć obje, ta koza, tak za niemi przepada.

Wsiedliśmy we troje do powozu, który na nas oczekiwał i wpół godziny potem byliśmy już przed sławną halą licytacyjną. Drzwi były pozamykane i zaryglowane, ale policjant, który stał na straży, dostał widocznie rozkaz wpuszczenia nas.

To, cośmy przyszli zobaczyć, leżało na stole, wprost nad którym zwieszała się lampa elektryczna. Wrażenie było zupełnie niesamowite. Z okalających cieniów zdawały się wychylać ku nam chochliki. Następnego ranka miano wystawić na licytację bogate zbiory prywatne i szereg mumji stał oparty o jedną ścianę, podczas gdy drugą podpierały kamienne figury bożków i faraonów. Byliśmy jedynemi żyjącemi istotami w otoczeniu postaci dawno zmarłych. Zaś na środku stołu, żółto w potokach białawego światła, napół rozwita z opasek spełzłego płótna, które zwieszały się koło niej strzępami — leżała mumja bez głowy!

Usłyszałem za sobą lekki trzask odmykanego flakonika i doleciał mię miły zapach werbeny.

— Pfe! — rozległ się tuż za mną szept huczący — tu powietrze pełne jest rzeczy martwych.

— Dobry wieczór, panie Klaw — rzekł Grimsby, niespodzianie wynurzając się z ciemności — jakże się cieszę, że państwo przyszli! Witam panią — dodał z ukłonem w stronę panny Izydy.

Jasno zielonawa postać weszła w krąg światła. Nie wiem, czy widziałem w życiu większy kontrast, niż kiedy panna Klaw pochyliła się nad mumją. Naogół cała ta scena zachwyciłaby Rembrandta.

— Miło mi spotkać pana, panie Klaw — rzekł jakiś pan w wieku średnim, podchodząc do handlarza starożytności — słyszałem już o panu od inspektora Grimsby.

Moris Klaw skłonił się, a córka jego skinęła nieznajomemu głową.

— To z tej samej epoki — rzekła — co mumja Pettigrew'a. Może to był kapłan z tej samej świątyni? W każdym razie oboje należeli do tej samej dynastji.

— To bardzo pouczające — mruknął Klaw — ale takie zawikłane!

— Zadziwiająca rzecz, panie Klaw — ozwał się Grimsby — jeżeli dobrze zrozumiałem słowa córki pańskiej, to mumja ta jest zwłokami kogoś współczesnego temu, czyja mumja jest w zbiorach p. Pettigrew?

— Nie zadaję sobie trudu patrzenia — mruknął Moris Klaw, który tymczasem rozglądał się po sali — jeżeli Izys tak powiedziała, w takim razie jest tak istotnie.

— Gdybym był przesądny — rzekł Grimsby — pomyślałbym, że to się wypełnia jakieś przekleństwo, lub coś równie fantastycznego.

— Przekleństwo wydaje się panu rzeczą fantastyczną co, panie kochany? —rzekł Klaw. A jednak we własnej ojczyźnie widziałeś pan rodzinę, którą przeklęto, aby ją w tajemniczy sposób wykasować z pośród żyjących. Czyż nie?

Grimsby wyglądał mocno zmięszany.

— Nic niema tak dalece tajemniczego w tem, co się stało — zauważył. — Jakiś szaleniec z nożem dostał się tu o zmroku. Tutaj zresztą mrok panuje nawet wśród białego dnia. Tajemnicą jest tylko powód, dla którego to się stało.

— Powód jest tajemnicą właśnie — zgodził się Klaw — zasnąłbym tutaj, aby uzyskać negatyw duchowy obaw i nadziei tego narwańca, gdyby nie to, że jest to człowiek opętany.

— Opętany? — wykrzyknąłem, a nawet na twarzy Izydy odbiło się zdziwienie.

— Tak, opętany — powtórzył Klaw z naciskiem. — Opętała go jedna jakaś idea. Jego mózg oszalały naładował fale eteru myślami szaleńca. Pokój p. Pettigrew musi być również pełen tych szalonych myśli. Niewątpliwie, on jest nienormalny, ten rzeźnik od mumji. W tym więc wypadku nie będę się opierał ani na fotografji odycznej, ani na teorji o Cyklach Zbrodni — lecz poprostu na wiadomościach czerpanych z mej bibljoteki.

Nikt z nas niewątpliwie nie zrozumiał dokładnie o co mu chodzi. Nastało tedy krótkie milcze-

nie, w ciągu którego dolatywał nas wyraźny, choć stłumiony odgłos ruchu ulicznego na Wellington Street, podczas gdyśmy stali skupieni dokoła tego truchła z przed 4 tysięcy lat. Nareszcie Grimsby zapytał z lekkiem wahaniem.

— Czy nie życzyłby pan sobie zrobić jakich poszukiwań, panie Klaw?

Nagle Moris Klaw nas zadziwił.

— Mam myśl! — wykrzyknął — do stu tysięcy par rajtuzów! Mam myśl!

Pochwycił swój bronzowy cylinder, który złożył na stole obok mumji bez głowy.

— Pójdź, moje dziecię — zawołał żywo, ujmując ramię córki — mam jeszcze inną myśl, bardzo przykrą. Panie Searles, czy nie zechciałby pan pójść z nami również?

Zaciekawiony, dokąd idziemy i w jakim celu, pośpieszyłem za nimi przez salę, pozostawiając inspektora Grimsby z wytrzeszczonemi oczyma. Zdaje mi się, że zawiodło go trochę badanie Morisa Klaw, jeśli te przelotne odwiedziny można było nawet wogóle nazwać badaniem. Niemałem rozczarowaniem było dla niego również to, iż przebywał tak krótko w towarzystwie uroczej panny Izydy.

Pan w latach średnich nadbiegł, aby nas wypuścić.

— Żegnam pana, panie Grimsby—zawołał Moris Klaw.

— Moje uszanowanie — odparł inspektor.

— Żegnam pana, panie Ktoś tam, kto się nie przedstawił — dorzucił Klaw.

— Nazwisko moje jest Welby — rzekł tamten z uśmiechem.

— A więc żegnam pana, panie Welby.

III

Przez całą drogę powrotną na Wapping, Moris Klaw zabawiał mię anegdotami z czasów pobytu swego na półwyspie Yukatan. Nigdy jeszcze nie zdarzyła mi się przedtem spotkać człowieka, któryby się odważył na badanie tych moczarów zabójczych; lecz Moris Klaw gwarzył o świątyniach Izamalu z taką swobodą, jakby to były bulwary paryskie. Panna Izys nie brała udziału w rozmowie, z czego wyprowadziłem wniosek, że, aczkolwiek towarzyszy ojcu wszędzie, nie była z nim na bagniskach Yukatanu.

W samem sercu tych lasów, panie Searles — szeptał Moris Klaw — znajdują się rzeczy o wiele dziwniejsze, niż owe mumje bez głowy. Czy pan wiesz, że tajemnice tych świątyń zakopanych wśród trzęsawisk i lasów dziewiczych, a strzeżonych jedynie przez węże i płazy oślizgłe, są jeszcze na wszystkie spusty zawarte przed wiedzą? Jaki lud je wznosił? Jakim bóstwom cześć tam składano? Przypuśćmy — tu nachylił się do mego ucha — że ja posiadałem klucz tej zagadki? Czy będę nieśmiertelny? Może tak... może nie...

Rozmowy, jakie prowadził, chociaż świadczyły o umyśle ekscentrycznym, były jednak zawsze rozmowami człowieka ponad miarę pospolitą, człowieka, który posiadał wiedzę niezwykle rozległą, oraz potężną inteligencję. To też żałowałem, żeśmy już przybyli na miejsce.

W chwili, gdy powóz podjeżdżał do wylotu uliczki, zauważyłem, że w sklepie Morisa Klaw ciemno jest zupełnie. Znowu zatrzymaliśmy dorożkarza, przeszliśmy obok magazynu, poza ścianami którego słychać było bełkot błotnistej Tamizy, poczem mój towarzysz wydobył klucz z jednej z przepaścistych kieszeni swego płaszcza z peleryną i wsadził go w zamek u drzwi, które nietyle do drzwi były podobne, ile do wpół zburzonej części jakiegoś wielkiego ogrodzenia.

Drzwi roztworzyły się odrazu.

— Ach! — syknął — więc nie były zamknięte! Zapalił zapałkę i zajrzał do cuchnącego wnętrza.

— William! — zawołał — William!

Nie było odpowiedzi. Panna Izys nagle oparła rączkę na mojem ramieniu i miałem wrażenie, że, na ten raz przynajmniej, opuszcza ją zwykła pewność siebie.

— Coś się stało! — szepnęła.

Ojciec jej zapalił płomień gazowy. Rozbłysło żółtawe światło, dobywając z mroku sprzęty, obrazy, klatki, gabloty, posążki, stosy tanich klejnotów i sztucznych zębów, książki i setki innych rupieci składających się na tą „Zarwańską ulicę".

Wtedy dopiero pod ladą odkryliśmy Williama leżącego na wznak z rozpostartemi ramionami.

— A „cochon" — mruknął Klaw — prosię nalane piwem!

Nachylił się, aby dźwignąć głowę leżącego, ale tutaj, ku memu zdziwieniu, upadł na kolana, pochylił się jeszcze niżej i zaczął mocno węszyć. Izys Klaw znów uchwyciła się mego ramienia, a ciemne jej oczy otwierały się coraz szerzej podczas gdy, pochylona naprzód, śledziła wzrokiem ojca. Ten się podniósł, trzymając w ręku szklankę, na dnie której zostało coś podobnego do piwa. To również powąchał, poczem zbliżył się do gazu i oglądał płyn pod światło, podczas gdy my z Izydą patrzyliśmy na niego. Nareszcie Moris Klaw wsunął swój długi, biały palec do brudnego wnętrza szklanki i ostrożnie potem oblizał jego koniec.

— Opjum — mruknął — sporo czystego opjum nalał ktoś do tego piwa.

Obrócił się do mnie ze szczególnym wyrazem na swej pergaminowej twarzy.

— Panie Searles — rzekł — moja druga myśl, to była myśl trafna. Zadziwię pana teraz.

Przeprowadził nas przez biuro czyste i przyzwoite, dokąd się wchodziło z tego niewymownie brudnego i niechlujnego sklepu. Podczas gdy w sklepie i przed nim było tylko gazowe oświetlenie, tutaj Moris Klaw rozniecił światło elektryczne. Niedługo wszakże przebywaliśmy w tem sanktuarjum, pod ścianami którego piętrzyły się setki książek, dzieł o kryminologji, wspomnień o rzeczach dziwnych. Przeszliśmy innemi drzwiami na schody wysłane dywanem.

(Dokończenie w następnym numerze)

Licho wzięło całą schedę, Dyndała poszedł na biedę...

HISTORJA 14-ta.



Pierzchły marzenia o sławie, siadł Dynała na murawie...



I westchnął nad swoją biedą, bo dłużnicy chmarą idą...



Ten ma kwit, ten weksel w garści: — Coś pożyczył, oddaj waści!



I wynieśli mu manatki, wszystkie meble, sprzęty, statki...



Zadrżały mu aż kolana, bo chałupa też sprzedana...



— A więc fortuna się wściekła! sorowo mu władza rzekła...

Rozpowszechniajcie „Ilustrowany Tygodnik Polski“

Tadeusz Pudłowski

„Zapiski prosięcia“

Nowość! *Żądać wszędzie!*